Nr. 4. Lwów, dnia 16. lutego 1907. Rok XXX.



Wpisowe do Towarz. (jednarazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 m rek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI.

Wspomnienia ze Smorza.

(Ciąg dalszy).

Wkraczałem na Ozero, jak tryumfator. Po południu fotografia w grupie z Petrem, z jeleniem i dwoma poprzednimi wieńcami. Nad wieczorem wyprawa na jarząbki. Nazajutrz ciężkie pożegnanie towarzyszy i Smorza i znowu karkołomna jazda, Kalne, Ławoczne, kolej i powrót na rok cały do trosk pełnego i szarego codziennego życia.

IV.

Rok 1902 przeszedł dla mnie w Smorzu bez wielkich rezultatów; przez cały czas mego tam pobytu lało bez miłosierdzia. Pech mię prześladował, napłoszyłem sobie mnóstwo jeleni, spotkania nie miałem. Wreszcie 3. października popołudniu poszliśmy z Petrem na Hostyłów. Jest tam nie wielka, kilkumorgowa kultura, tak zwany: „Prykirnyk". Legenda chciała, że na tej kulturze ukazuje się od czasu do czasu dobry jeleń. Wśród ulewnego deszczu, z widokami tego samego niepowodzenia, w którą-kolwiek skierowałbym się stronę, wybrałem tę kulturę, jako cel dzisiejszej popołudniowej wycieczki. Mijała trzecia, gdyśmy wyszli na połoniny Hostyłowa. Skręciliśmy w lewo i oczom naszym ukazała się kultura. Środkiem dzielił ją płytki parowek, zaczątek coraz głębszej, w dalszym ciągu debry. Nad tem zagłębieniem w ścianie lasu zabiłem w ziemię, pod grubym bukiem myśliwski stołek i zamierzałem usiąść, gdy trzask na kulturze zwrócił moją uwagę. Z przeciwległej ściany pędziła galopem łania, na kulawy sztych ku mnie, za nią z wywieszonym ozorem jeleń z wysokimi, ale nie grubymi rogami. Gdy mię mijały na odległość 60 kroków, strzeliłem. Byk zwalił się, jakby piorunem rażony

łania zawróciła i znikła tam, skąd przyszła. Cała rzecz rozegrała się tak szybko, że nawet nie miałem czasu usiąść na lasce. Jeleń, bardzo okazały w ciele 12-tak, miał wieniec prawie metrowej długości, ale cienki i niesympatycznej formy. Dobrze się stało, że padł, w interesie hodowli jeleni w Smorzu, byłby sobie jednak św. Hubert mógł wybrać kogo innego do wykonania tego wyroku. Kula 6·6 mm. przebiła wysoko lewą łopatkę i siedziała z drugiej strony pod skórą. Całą dobrą stroną tego spotkania było to, że nie naraziło ono mnie na długie moknięcie na deszczu. Za dnia byłem jeszcze z powrotem na Ozerze. Po drodze widziałem aż dwa zające i kozę.

Na tym jedynym jeleniu skończyły się moje przewagi roku 1902. Przechodzę więc bezpośrednio do wspomnień następnego roku.

Piętnastego września stanąłem na Ozerze. W skutek nowego podziału rewirów i zmiany składu Towarzystwa, przypadły mi w udziale te same partye, co przed dwoma laty. Cieszyłem się tem bardzo, bo jednym z najważniejszych warunków powodzenia na rykowisku, jest dokładna znajomość kniei. Z poprzednich lat znałem już mój rewir, więc już w tym roku nie potrzebowałem tracić czasu na próżno. Następnego zaraz ranka przekonałem się, że stan jeleni wzmógł się znacznie. Co chwilę spotykałem łanie i słabe byki, a całe gościńce, wydeptane przez jelenie, świadczyły o ich ilości. Miłą niespodzianką były dla mnie świeżo wycięte podchodne ścieżki i ponaprawiane kładki. Oprócz tego w skutek okorowania buczyny, zrzadły znacznie gąszcze na Bukowynystej. Jelenie ryczały dobrze. Zanotowałem sobie w pamięci kilka dobrych basów, a w podchodzie za jednym z nich, przeszedł mi bezskutecznie cały dzień dzisiejszy. Posucha i trzeszczący pod nogami liść bukowy utrudniały bardzo podchodzenie. Śliczny kogut jarząbek, który na moje wabienie usiadł o kilka kroków na buku i z roztwartym wachlarzem spacerował po gałęzi, był zdobyczą tego pierwszego dnia. Jeden z dobrze ryczących jeleni obrał sobie stanowisko w środku Bukowynystej, w pobliżu owego, smutnej dla mnie pamięci potoka z ryzami i ryczał tam rankiem i popołudniu. Znałem ten kąt rewiru dobrze i hołdując zasadzie, że najgorzej robi myśliwy na rykowisku, biegając za każdym jeleniem, który się odezwie, postanowiłem całą uwagę poświęcić najpierw temu jeleniowi, o którym zdawało mi się, że znam jego ostoję. To też rankiem wczesnym 17. września znajdowałem się na ścieżce, przecinającej w poprzek Bukowynystę i znany mi potok z ryzami. Kilka jeleni ryczało w około. Czekałem dnia, ażeby coś postanowić. Z zgaszoną latarką siedziałem na kłodzie już od godziny, górą bladły gwiazdy i ryk ustawał, jak zwykle przed świtem. Ciężkie stąpanie dało się słyszeć, zatrajkotało po gałęziach, byk jakiś przechodził w pobliżu. Wtem usłyszałem chlupot wody, łamanie i sapanie. To gladyator przed walką brał wzmacniającą kąpiel. Z zapartym oddechem siedziałem, ażeby zwierza nie spłoszyć, pragnąłem światła nie tyle, ażeby strzelić, jak raczej ażeby ujrzeć tę kąpiel jelenią, której nigdy nie widziałem. Niestety do światła było jeszcze daleko. Chlapanie trwało może ze 2 minuty, poczem jeleń oddalił się, dążąc w poprzek ścieżki ku górze. Niedługo potem odezwał się nademną grubym basem i ryczał w dalszym ciągu coraz częściej. Las w około zaczynał się ożywiać, w kilku miejscach słyszałem bliskie łamanie, byłem w około otoczony stadem, którego nie widziałem. Przytuliłem się jak długi do kłody i byłem pewny, że lada chwila któraś sztuka mię zwietrzy i narobi alarmu. Szczęściem poczęły się oddalać ku górze i niebezpieczeństwo spłoszenia minęło. Na ścieżce zaszeleściało coś po liściu. Wprost na mnie biegło truchcikiem jakieś zwierze, którego początkowo rozpoznać nie mogłem. Ryś! przemknęło mi w głowie. Niestety był to tylko lis, który przeszedł tuż koło mnie, nie wiedząc zupełnie o mojej obecności. Trzeba było już i mnie podążyć za stadem. Ścieżka doprowadziła mię do potoku z ryzami. Już teraz na rakach i z kijem bezpiecznie szedłem przy coraz lepszem świetle w górę potoka. Dołem nad wodą kłębiły się opary, wyższe kondygnacye ścian potoka różowiły się w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Po lewej mojej ręce słyszałem ciągle ryczącego jelenia i szedłem z nim równolegle. Wyszedłem z potoka w las rzadszy, mając nadzieję, że gdzieś pod szczytem zejdę się z jeleniem. Tak doszedłem do granicy Matkowa. Z granicy sięgał wzrok daleko, aż opierał się o odległe pasma górskie. Cała dolina kłębiła się mgłą, jak wzburzone morze, mieniące się w wschodzącem słońcu wszystkimi kolorami tęczy. Mgła opadała, bo już wystercały z niej jak wyspy pojedyncze szczyty. Pomimo bliskości ryczącego jelenia, nie mogłem się oderwać od tego prześlicznego widoku olbrzymich obszarów, zajętych kłębiącą się mgłą i tych szczytów, jakby zawieszonych w powietrzu. Lecz jeleń wołał i szczęściem wśród lasu mgły nie było. Okrążałem teraz jelenia górą, ostrożnie stawiając krok każdy. Na takich manewrach, które doprowadziły mię ponownie w środek Bukowynystego, zeszedł cały ranek. Dobrze już po 6-tej znalazłem się na tej samej ścieżce i przy tej samej kłodzie, na której w nocy siedziałem. W oddaleniu kilkunastu kroków od niej, szeroko rozrobiona kąpiel błotna i obryzgane krzaki wskazywały miejsce, w którem przed kilku godzinami tarzał się jeleń. Ryk ustał od jakiej pół godziny, wiedziałem jednak, że jeleń jest gdzieś niedaleko, ale na razie nic przedsiębrać nie mogłem. Usiadłem więc znowu na mojej kłodzie, postawiłem kij obok siebie i gotowy do strzału sztuciec Mauserowski i zapaliłem nowe cygaro. Zauważę tu nawiasem, że zupełnie nie wierzę w to, ażeby cygaro psuło podchodzenie jelenia. W życiu nie zabiłem inaczej jelenia, jak z zapalonem cygarem w ustach. Cygaro oddaje nieporównane usługi w badaniu kierunku wiatru, który w górach co chwila się zmienia. Gdy podchodzi się jelenia z dobrym wiatrem, to można palić nawet fajkę nabitą choćby najwonniejszym „Schwarzdreikoenigem“, a gdy wiatr się zmieni, to dym palącego się tytoniu, z pewnością nie jest przykrzejszym jeleniowi od woni mydła i innych pachnideł, jakie wnosi ze sobą do lasu cywilizowany człowiek. Robiłem w tym kierunku sumienne doświadczenia, paliłem i dymiłem umyślnie ostentacyjnie nieraz, w odległości kilkunastu kroków od pasących się łań i jeleni i przy dobrym wietrze nigdy złych skutków nie zauważyłem. Uwaga na dobry wiatr i unikanie gwałtownych ruchów są podstawowymi warunkami przy podchodzeniu jeleni. Dym tytoniu, a nawet łamanie gałęzi nie płoszą jelenia, jeżeli tylko nie zwietrzy lub nie dostrzeże zbliżającego się myśliwego. Posiedziawszy kilka minut, wstałem, ażeby zaglądnąć jeszcze za załom ścieżki. W lewej ręce miałem sztuciec z odsuniętą zasuwką bezpieczeństwa, w prawej dłoni kij, w ustach długie cygaro na długiej cygarniczce. W chwili gdy robiłem pierwszy krok, usłyszałem stęknięcie jelenia i równoczesne dudnienie i o 15 kroków przed sobą zobaczyłem dwa duże rogi jelenie, wystercające z za buka. Jeleń stał na sztych do mnie cały bukiem zakryty. Nie mogąc puścić kija z ręki dla uniknięcia hałasu, złożyłem się, trzymając

go i równocześnie obejmując tą samą ręką łoże sztućca. W tej pozycyi cygaro tkwiące w lewym kącie ust znalazło się na poprzek lufy (składam się z lewej strony) i zasłania mi wizyr. Manipulując więc zębami i językiem, przeprowadziłem cygaro w prawy kąt ust i miałem szynę wolną. Jeleń mnie nie widział, również ja jego, oprócz ogromnych czarnych rogów. Staliśmy tak naprzeciw siebie, on bez ruchu, ja złożony, trzymając muszkę sztućca na buku w wysokości niewidzialnego dla mnie łba jeleniego. Trwało to wieki. Miałem wielkie wątpliwości, czy w ogóle do tego jelenia będę mógł strzelić. Nagle, nie wiem czy jeleń mię ujrzał, czy zwietrzył, zawrócił na pięcie i w pierwszej jego lansadzie ujrzałem część karku i wypaliłem jak do kszyka. Jeleń znikł jak widziadło, hałasu żadnego ani łamania ucieczki nie słyszałem. Czyżby leżał? Wydawało mi się to niemożebnem. Pobiegłem do buka, za którym stał jeleń. Tuż za bukiem urywał się teren dosyć nagłym stokiem, zrozumiałem teraz, dlaczego nie słyszałem, jak jeleń umykał. Pod rozłożystemi koronami wiekowych buków, dosyć mroczno było w tem miejscu mimo jasnego ranka. Wśród rzadkich jednak pni zaglądnąć można było na jakie 50—60 kroków ku dołowi. Na tej przestrzeni jelenia nie było. Leżało tylko w dole kilka kłód czarnych z sterczącemi nad niemi uschłemi gałęziami i korzeniami. Przy buku ani farby ani turzycy nie było, tylko w głębokiem posłaniu liścia szeroko wyorany trop wiódł wprost na leżące na dole kłody. Postąpiłem kilkanaście kroków za tropem i omal nie krzyknąłem. Pierwsza kłoda, na którą się natknąłem, była nie czem innem, jak moim jeleniem. Wspaniały ciemny wieniec o 14-tu pasmach sterczał wysoko nad powalonym zwierzem. Kula ugrzęzła w karku. Jeleń zginął na miejscu i tylko już jako nieboszczyk zsunął się kilkadziesiąt kroków po stoku. Strzał ten zawdzięczam tylko przypadkowi, bo na mierzenie czasu nie było.

Zaraz nazajutrz 18. września zabiłem na Bahońskiem skutkiem pomyłki drugiego jelenia 12-ka o mizernym wieńcu. Ledwie z Ozera dostałem się po południu na Bachońskie, ujrzałem wśród rzadkiej świerczyny, z gęstą jednakowoż podszewką, galopującą w górę łanię, a za nią w odległości kilkunastu kroków, podążał tymsamym śladem byk. Jeleń mijał mię na połeć, na kroków około 60 i niósł wieniec położony po sobie. W gęstem podszyciu lasu nie widziałem całego wieńca, a duża ilość świecących końców skusiła mię do pociągnięcia za cyngel. W chwili strzału byk zawrócił ku mnie i przebiegł o kroków 30 w poprzek drogi, na której stałem. Widziałem doskonale czerwoną plamę od kuli na łopatce. Strzeliłem raz drugi, byk znikł w gąszczu, ale za chwilę usłyszałem charakterystyczny łomot walącego się jelenia.

Gdy się ten odgłos usłyszy, można iść bez zwłoki do postrzałka, bez obawy spłoszenia go, gdyż zastaje się zwierza już martwego. Pobiegłem też za farbą co prędzej, w nadziei ujrzenia jakiegoś fenomenalnego wieńca. Przykre jednak rozczarowanie czekało mnie przy jeleniu. Leżał byk mały, z wieńcem wprawdzie o 12-tu końcach i łopatach w koronie, ale rogi miały ledwie 70 cm. długości i były odpowiednio cienkie. Obiedwie kule siedziały o cal od siebie na lewej łopatce. Strzelałem z Mausera 6·5 mm. kulą $^{9}/_{10}$ płaszczykową, $2^{1}/_{2}$ grm. austryackiego prochu wojskowego. Od miejsca pierwszego strzału uszedł byk 75 kroków.

Trzeba być bardzo ostrożnym w ocenianiu wieńców. Na żywym jeleniu czy też rogaczu wydają się rogi zawsze znacznie wspanialszymi, aniżeli są w rzeczywistości. Zwłaszcza w pospiechu, gdy nie można zwlekać ze strzałem, nie trudno o pomyłkę. Podniecona fantazya i nie zawsze spokojne nerwy, wkładają myśliwemu w obec zwierza najczęściej powiększające soczewki na oczy.

Wydarzyło mi się kilka razy w życiu, że zabity przezemnie odyniec zmieniał się po wyciągnięciu go na linię w warchlaka.

W dwa dni po tym dwunastaku miałem na Kontrowersie, w górze pod granicą Matkowa niefortunne spotkanie z bardzo grubym jeleniem. Ponieważ spotkanie to nie było przypadkowem, lecz wynikiem kilkudniowych kombinacyi, podaję więc bliższe szczegóły. Od kilku dni wiedziałem już o grubym jeleniu, który co ranka wracał z Matkowskich zrębów przez Kontrowers na Bukowynystę. Zacierałem jego tropy codziennie i codziennie odnajdywałem je na tym samym przesmyku.

Umyślnie dla tego jelenia wyciąłem własnoręcznie tasakiem krótką ścieżkę na Kontrowersie i uprzątnąłem łomy, ażeby módz bez hałasu dostać się do jego weksla.

Dwudziestego września rano, już przed trzecią siedziałem w oddaleniu kroków 30 od znanego mi przechodu. Wiatr ciągnął wzdłuż stoku Kontrowersu ku Bukowynystej. Długie godziny ciemności wlokły się powoli, wśród zwykłej nocnej gwary lasu i tajemniczych szmerów. Mijał zmierzch ranny i brzask się poczynał, a jeleń nie nadchodził. Zamierzałem już opuścić moje stanowisko w przypuszczeniu, iż jeleń dziś inną obrał sobie drogę, gdy wstrzymało mnie tak znane myśliwskiemu uchu i tak elektryzujące łamanie ciężkiego zwierza. Kilkakrotne stęknięcie pouczyło mię, że jeleń nadchodzi ze swoim haremem. Wśród niskich zarośli, podszywających rzadką tutaj starą buczynę, zaczęły majaczyć kontury kilku sztuk. Powoli wynurzały się długie szyje i łyżki rozstawione, ale rogatego łba dostrzedz nie mogłem. Trzy łanie przechodziły tuż koło mnie na długość kłody, na której siedziałem, ciche pomrukiwanie jelenia słychać było tuż przedemną, lecz on sam pomimo rzadkiego w tem miejscu lasu był dla mnie niewidzialnym, jakby zaklęty.

Zniecierpliwiony podniosłem się z kłody i ujrzałem wtedy w jej przedłużeniu przód jeszcze jednej łani, stojącej w jakiemś zagłębieniu i kryjącej sobą dużego byka o bardzo rozłożystym wieńcu. Strzelić nie mogłem, bo jeleń był zupełnie łanią zakryty i ta wzajemna, nieruchoma kontemplacya trwała pewnie pół minuty.

Wreszcie łania zatrąbiła na alarm i w dzikim popłochu rzuciło się całe stado do ucieczki, wśród ogłuszającego trzasku i łomotu. Do migającego między pniami jelenia puściłem kulę, ale ta ugrzęzła w buku. Był to jeden z największych jeleni, jakiego spotkałem w życiu. Ilości końców wieńca nie mogłem policzyć, było ich jednak bardzo dużo. Z tym jeleniem wyczerpałem ilość sztuk, do których wolno mi było w tym roku strzelać w Smorzu, dzięki jednak uprzejmemu upoważnieniu łowczego, pozostałem jeszcze kilka dni, jako turysta, podziwiający piękne krajobrazy i strzelający jarząbki. Oprócz specyalnego instrumentu na jarząbki nosiłem jednak i sztuciec, gdyż nie była wykluczoną możliwość spotkania się z jakim grubym drapieżnikiem.

Kaprysna bogini łowów, dopokąd starałem się usilnie o jej względy, skąpiła mi ich zazdrośnie, lub stawiała ciężkie do wypełnienia warunki łowcowi, zanim zieloną chojkę zatknął u kapelusza.

Obecnie tak samo, jak śmiertelne jej ziemskie koleżanki, nie szczędziła mi swych względów, gdy widziała,

że platonicznie tylko kroczę po jej dziedzinie. Faktem jest, że przez te kilka dni, które poza moją koleją bawiłem w Smorzu, spotykałem co chwilę grube byki, nie szukając ich zupełnie. Przyjechał do Smorza w owym czasie kochany mój sąsiad C. Korzystając z jego upoważnienia strzelałem na Spalonem jarząbki. Co chwilę musiałem się ustępywać, bo ledwie poczynałem wabić jarząbka, nadchodził zaraz jeleń. Petro, który towarzyszył mi w roli profesora w wabieniu, drapał się w głowę i desperował, że do jeleni nie strzelam. Szczególnie jeden czternastak, (ubity później przez C.) właził nam ciągle w drogę i o kilkanaście kroków nam się przypatrywał. Dwudziestego czwartego września około 8-mej rano wabiłem na Spalonem, na linii granicznej od Matkowa. Byłem sam, gdyż Petro był zajęty. W ręku miałem malutki sztućczyk na jarząbki, obok stał na wszelki wypadek nabity sztuciec Mausera. Ledwie zawabiłem, usiadł na buku kogucik i spadł, jak gruszka. W ciągu kwadransa przyleciały jeszcze cztery, z których pierwszego chybiłem, dalsze zaś trzy spacerowały tuż koło mnie po ziemi, ale nie mogłem ich dopatrzyć. W chwili największego zajęcia w wypatrywaniu tych ukrytych infanterzystów zelektryzowany zostałem stęknięciem jelenia tuż za moimi plecami.

Aha! nadchodzi mój znajomy czternastak, pomyślałem. W tej chwili z Matkowa wybiegła na linię graniczną łania z cielęciem.

Byk za moimi plecami począł ryczeć na dobre i w tym też kierunku znikła łania w gęstwinie. Obróciłem się za nią i znowu ujrzałem ją umykającą z powrotem w poprzek linii z cielakiem, za niemi szarżował byk. W samej ścianie Spalonego jeleń się zatrzymał i rycząc począł obrabiać rogami jakiś krzak.

Nie był to mój znajomy. Z pomiędzy gęstwiny jaworowego krzaka wysterczały duże, jasne rogi o pięciodzielnych, łopaciastych, koronach. Widziałem błyszczące ślepia, czoło i część karku. Pokusa była za silna. Poczciwy C. nie wyklnie mnie za tego byka, pomyślałem, a w obec surowego Smorzańskiego regulaminu, zasłoni mnie, przyjmując tę zdobycz na siebie. Tak rozmyślając ostrożnie zmieniłem mały sztućczyk na Mausera. Powoli linia za linią wznosiła się lufa ku górze, odkręciłem zasuwkę i w chwili ryku, nastawiłem szneller. Jeleń ciągle krzak obrabiał i jakby chcąc mi rzecz ułatwić, wysunął się tyłem na linię, przyczem nadstawił mi cały lewy połeć. Świecąca muszka sztućca opuszczała się od linii grzbietu ku dołowi, zatrzymała się na chwilę na środku łopatki i odjąłem sztuciec od twarzy. W ostatniej chwili przyszła rozwaga, nie chciałem tym wybrykiem psuć mojej nieskazitelnej łowieckiej służby w Smorzańskich szeregach. Zakręciłem napowrót zasuwkę sztućca. Odezwał się suchy dźwięk spuszczonego sznellera, na który podniósł jeleń łeb uwieńczony i spojrzawszy na mnie z wyraźnem zdziwieniem, znikł bez wielkiego pospiechu wśród jodeł Spalonego. W 10 minut potem ryczał dalej w najlepsze, a ja strzelałem ze skutkiem do trzeciego jarząbka tego ranka.

Byłoby pozą z mojej strony, gdybym utrzymywał, że mi ta wstrzemięźliwość łatwą była. Owszem ciężkiem mi było to zwycięstwo nad sobą, a wewnętrzne zadowolenie, które się w takich wypadkach rzekomo ma odczuwać, długo bardzo dawało czekać na siebie.

Nazajutrz po południu pomaszerowałem na Hostytów z misyą powierzoną mi przez łowczego wysłuchania, co się tam dzieje. Około czwartej siedziałem na połoninach nad „Korowanymi Bukami“.

Tuż podemną odzywał się jeden jeleń, na Bahnach drugi, po przeciwnej stronie nad Felizienthalem trzeci. Przesiedziałem tak półtorej godziny i nie słysząc nic więcej, rozpocząłem odwrót ku domowi. Jeleń z nad Felizienthalu podszedł ku górze i ryczał teraz tuż pod połoniną, na której się znajdowałem. W nadziei, że będzie przez połoninę przechodził, zbliżyłem się do niego ile mogłem i czekałem. Po pół godzinie jeleń zawrócił ku dołowi, więc i ja także opuściłem moje stanowisko. Schodząc już z połonin w las, oglądnąłem się raz jeszcze za siebie i ujrzałem nad Korowanymi Bukami na tle nieba kilka sylwetek jelenich.

(C. d. n.)

Broń małokalibrowa w zastosowaniu do grubego zwierza

przez H. HEILANDA.

(Dokończenie.)

Ciekawe pod tym względem doświadczenia zrobiono w Meksyku, gdzie jaguary za pomocą psów do schronienia się na drzewach zmuszają.

Ponieważ cała uwaga siedzącego na gałęzi drapieżcy zwrócona jest na szczekające pod nim psy, może myśliwy zupełnie spokojnie celować i strzelać.

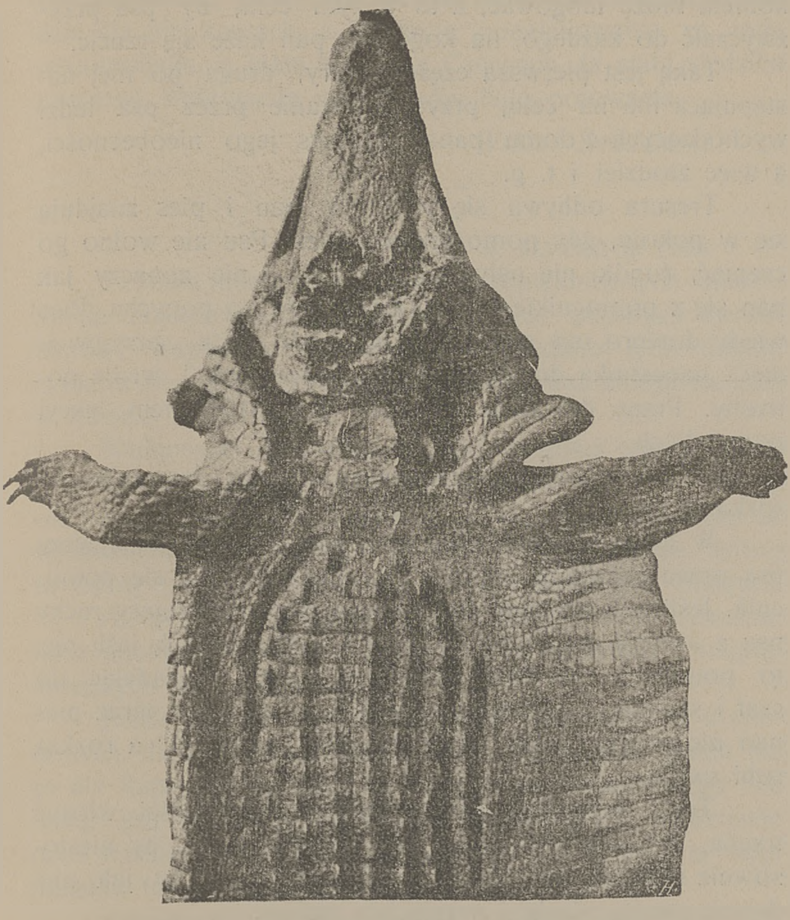
Prawie zawsze po pierwszym strzale spada z drzewa zwierzę, co najwyżej jeszcze pazurami gdzieś na chwilę zawiśnie. Raz jedyny zdarzył się wypadek, że myśliwy został przez śmiertelnie w pierś rannego jaguara napadnięty. Także puma, ten lew meksykański po strzale w łopatkę zwykle na miejscu się kładzie, a nigdy nie okazuje chęci do szarżowania.

Takie same pociski zastosowuje się z dobrym skutkiem do wielkich gatunków małp, szczególnie do orangutanów, gdyż te źle trafione umieją tak szybko po gałęziach umykać, że w gąszczach liści z oczu nikną i przepadają a myśliwy biegnąc po ziemi, nadążyć im nie może. Trzeba wziąć i to na uwagę, że do orangutana strzela się zwykle na chybił trafił, gdyż wśród liści i lianów ledwie je można i to nie dokładnie zobaczyć. Również zwyczaj bombardowania myśliwego suchymi i grubymi kawałkami gałęzi, jaki według zdania wielu myśliwych mają zawsze orangutany, wymaga szybkiego działania pocisku. Śmiertelnie ranny orangutan nigdy prawie z gałęzi na ziemię nie spada, lecz na przedniej łapie na gałęzi zawisa tak, że myśliwy następnie musi przestrzelić mu rękę w kostce, gdyż dłoń się około gałęzi kurczowo zaciska i tak zastyga, a wyłażenie na splątane lianami drzewo jest wprost niemożliwem.

Najrozmaitsze gatunki krokodylów okazują niezwykłą odporność na nowoczesne pociski. Każdy, nie w tej chwili zabity krokodyl, dla myśliwego przepada. Daleko mniejszy, w południowej i centralnej Ameryce żyjący, pokrewny mu aligator zdaje się być mniej twardy. W polowaniach na krokodyle rodzaj pocisków jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, bo chociaż nowoczesna broń w przeciwstawieniu do dawnej, pancerz tego płaza w każdem miejscu przebija, to jednak rzadko kiedy działa na niego piorunująco. Pociski pełne tj. o całym płaczczu nie mogą mieć tu żadnego zastosowania; pociski półpłaszczykowe byłyby najlepsze, czynią jednak za wielkie spustoszenia. Strzał

w głowę, jak załączona fotografia (Fig. 3) pokazuje, rozmiażdża ją zupełnie, co dla kolektora i preparatora jest bardzo przykrem.

Fig. 3.



Najprzydatniejszym pociskiem jest „dum dum“ z małym bardzo szpicem ołowianym, albo w braku tego pocisk całopłaszczykowy o spiłowanym aż do ołowiu szpicem. Co do samego strzału, to nie chodzi tyle o to, by zwierzę na miejscu zabić, gdyż to jest wprost niemożliwem, lecz o to by spowodować chwilowy paraliż systemu nerwowego. Siła życiowa tego potwora jest tak niesłychaną, że z odciętą nawet głową porusza się i rzuca podobnie, jak węgorz.

Najlepszy strzał jest z tyłu w potylicę, chodzi bowiem o uszkodzenie tak zwanego nerwu „Allongata“, łączącego mózg ze stosem pacierzowym.

Cel jest do osiągnięcia łatwy, gdyż w tem miejscu znajduje się dobrze widoczna kostna mała płytka, która powinna być przebitą. Strzał w oko, o którym się we wszystkich książkach czyta, jest nonsensem, gdyż najpierw organ ten jest prawie niewidzialnym, a powtóre dla patrzącego z przodu nie leży w linii mózgu. Drugi strzał dobry, to w przednią łopatkę, który potwora na czas jakiś ubezwładnia. Zwierzę leży jakiś czas na miejscu, bijąc ogonem w ziemię i jest czas za pomocą tubylców za koniec ogona od wody je ostrożnie odciągnąć. Dalej strzela się też z dobrym rezultatem do krokodyla ukośnie z tyłu, mierząc pod nasadę tylnej nogi. Zwierzę zostaje ubezwładnione. Przy strzelaniu wreszcie krokodyla ludożercy „*maneater'a*“, którego się z wody wabi, posyła się mu pocisk w czoło, gdyż w obec używanego w tym wypadku niebezpiecznego sposobu, niema czasu na czekanie sposobności na strzał z boku.

* * *

A teraz podam jeszcze, w jaki sposób zaopatruję się w broń i amunicyę na przyszłą, obejmującą wieie części świata, wyprawę myśliwską. Jako broń zwykłą, biorę ze sobą sztuciec repetierowy, model 88*) według moich wskazówek przez firmę Jerzy Knaak w Berlinie do celów myśliwskich przerobiony. Broń ta ma lufę sześcioboczną, chropowatą, by w słońcu nie świeciła, długości sztućca wojskowego, by wywołać wielką chyżość początkową i mieć dokładność strzału. Muszka jest długa, z srebrnym punktem, wizyer stały z drobnem wycięciem i srebrną kreską, ostrzelany na 50 metrów, oprócz tego są dwa składane wizyery na 150 i 250 metrów. Broń jest zaopatrzona również w gukerek, aby dalej siedzące ptaki strzelać można, jak również, aby używać go w silnym blasku słonecznym.

W tropikach zupełnie niepraktyczny, a nawet bardzo niebezpieczny szneller zupełnie wyrzuciłem, broń ma zresztą lekki spust. W łożu jest miejsce na jeden magazyn, który służy w wypadku, gdyby się bez amunicyi chwilowo zostało.

Amunicya moja składa się z kul cało, $^1/_2$ i $^3/_4$ płaszczykowych, „dum dum“ i $^1/_2$ płaszczykowych z wydrążeniem w zastosowaniu do drapieżników.

Eksplodujących pocisków nie używałem nigdy i uważam je w zastosowaniu nawet do tygrysa i lamparta za rzecz niemyśliwską.

Drugą bronią moją jest Mauser repetierowy „Streifenlader“ kalibru 10·75 mm. o naboju 4 gm. prochu bezdymnego. Sztuciec ten wykonany jest podobnie jak i tamten a używam go tylko na nosorożce, na słonie zaś chyba jako broni rezerwowej. Naboje wkładam do magazynu w tym porządku, jak wyżej już wspomniałem.

Nadto zaopatruję się w dwa pistolety Browninga, do których używam naboi o ołowianych szpicach. Jeden z nich noszę przy pasku, drugi jako rezerwowy znajduje się u siodła, lub u człowieka niosącego mi ciężki sztuciec.

*) Karabin wojskowy 8 mm. Mausera. (P. Red.)

„Na człowieka“!

Ciekawy tytuł, pomyśli czytelnik i przeczyta również ciekawie artykuł, traktujący o tresurze psa, tresurze wyższej nad inne, tresurze nie dla cyrku lub Colosseum, lecz dla bezpieczeństwa życia i mienia człowieka, bardzo ważnej.

Geneza tresury tej daleko za nami, sięga bowiem czasów starożytnych Rzymian i Greków, którzy brak żołnierza i broni psem zastępywali i tresując go odpowiednio, „na człowieka“, przy jego pomocy bitwy wygrywali.

W 1514 roku ginie słynny pies Becerillo podczas oblężenia Puerto Rico, walcząc po stronie Hiszpanów przeciwko Karibom.

W 1798 roku tresują Anglicy psa na człowieka, o czem wie nie jedna dusza rozdartego na Jamajce Negra.

I dziś niestety mogłyby lasy Kuby, gdyby mówić umiały, powiedzieć, jakie mają tajemnice, jakie widziały tragedye z „tresury psa na człowieka“, oraz poświadczyć, że „Miłość bliźniego“, nawet dziś nie jest czczym frazesem. Trudno, „tempora mutantur“, a że Chrystus bliźniego koło siebie szukał, to my wobec wynalazku zwierciadła upraszczamy robotę, bo w niem odrazu bliźniego widzimy.

Mówię przez „pluralis majestaticus“ lub jak kto chce, ogólnie, by nie psuć krwi niejednemu Anglikowi, myślącemu, iż do niego piję, choć nie ja piję, lecz pije Kuba (wyspa).

Może epilogiem, chociaż wobec postępu nic epilogiem nazwać nie można, jest niniejsza tresura psa „na człowieka“, mało u nas znana, choć ludzka i praktyczna. O ile jest ona, a względnie może być przydatną, niech pomyślą Ci, którzy w pogoni za kłusownikami nie zawsze są w stanie kulą się obronić.

Celem bowiem tej tresury jest ochrona życia własnego w razie napadu, oraz pomoc w przytrzymywaniu kłusowników lub t. p. „latronów“.

Sposób sam tresowania, o ile jest dość prostym, o tyle nie do każdego psa da się w zupełności stosować, gdyż „indywidualizm“ i tu swą rolę odgrywa.

Tresujący więc wybiera taką metodę, jaką za stosowną do tresury elewa uważa.

Rasa również jest ważnym czynnikiem, gdyż tylko psy duże, Dogi, Bulldogi, Leonbergery, Nowofundlandczyki, psy legawe, wreszcie duże kundysy mogą jakąś siłę przedstawiać*) a z tych dopiero ras wybiera się osobniki, poważne i złe, nigdy roztrzepane i łatwo przystępne.

Od najwcześniejszej młodości, musi wybraniec być traktowany poważnie i do ukończenia tresury nie powinien nikt inny prócz właściciela „koło psa chodzić“...

Wiek przepisany niby ma być ośm miesięcy, choć mnie się zdaje, że to jest rzecz względna, w każdym jednak razie, jak pisze Karol Zorn, (współwłaściciel firmy Caesar & Minka, oraz jej kierownik) musi pies być po przebytej, psiej chorobie, suka zaś trzy miesiące po oszczenieniu.

Ośm do dziewięciu, czasem więcej dni przed rozpoczęciem nauki, trzeba psa odosobnić i nikt nie śmie prócz tresera psu jeść podawać. Treser zawsze jednakowo ma być ubrany.

Po ośmu dniach rozpoczyna się lekcya, w której biorą udział profesor, uczeń i pomocnik, z których ten ostatni, psu zupełnie nie znany udaje napastnika, a że zachodzi obawa, iż może „co najmniej“ śmiercią zawód swój okupić, więc wata, skóra, słoma i siatka druciana na twarzy i szyi, powinny go dobrze ochronić. Ubranie zresztą obdarte zmieniać ma jak najczęściej, jak również chód, głos i ruchy.

Wziąwszy, o zmierzchu, psa na linkę, wychodzi z nim treser na spacer i idąc gościńcem tam i napowrót, spotyka kilka razy tego samego pomocnika w rozmaitych ubiorach, niby obcych ludzi. Za każdem zbliżeniem się obcego zwraca się nań psu uwagę, a zamieniwszy kilka słów z pomocnikiem, spaceruje się dalej. Gdyby pies warczał lub okazywał chęć skoczenia na przechodzącego, uspokaja go treser łagodnie, mówiąc: pfui, cicho lub t. p.

Po kilku dniach takich wycieczek, kiedy treser zauważy, że pies już dobrze przygotowany, następuje chwila popisu. Pomocnik przechodząc rozpoczyna niby kłótnię, a wydarłszy coś treserowi lub uderzywszy go kijem, ma niby zamiar uciekać, wtedy puszcza treser psa na napastnika, a krzyknąwszy mu nad uchem „bierz go“ uważa co pies robi. Jeśli skoczy i oparłszy przednie łapy o pierś napastnika ,,szczerzy“ nań zęby, lub do gryzienia się zabiera — cel osiągnięty. Pomocnik się poddaje, pies czuje się panem sytuacyi, myśląc, iż jest zwycięzcą. Wtedy treser odwołuje psa łagodnie, trzymając dalej na lince, nie szarpiąc, i w nagrodę czynu, obdarza kęsem chleba, nigdy zaś mięsem. Powracając do domu, idzie pomocnik o dwa kroki przodem, za nim treser, trzymający krótko psa na lince. W domu należy psa zaraz odosobnić.

*) Policya angielska używa do tropienia przestępców rasy „Bloodhoundów“. Red.

Powtarzając lekcyę przez kilka wieczorów, co wieczór raz tylko, można zmieniać siły pomocnicze, i nawet kobieta może fungować, a to w tym celu, by psa przyzwyczaić do każdego, na kogo mu pan każe się rzucić.

Taką jest pierwsza część tresury, druga po niej następująca ma na celu, przytrzymywanie przez psa ludzi wychodzących z domu pana, podczas jego nieobecności, a więc złodziei i t. p.

Tresura odbywa się w domu, pan i pies znajdują się w pokoju, gdy pomocnik wchodzi. Psu nie wolno go czepiać, dopóki nie usłyszy ,,bierz go“ i nie zobaczy jak pan się z pomocnikiem bije i ku ścianie go popycha. Pies wtedy dopiero ma skoczyć, i na wzór pana ,,przygwoździć“ napastnika do ściany, lub „zoperować“ wedle potrzeby. Przez dni kilka to samo z powtórzeniem lekcyi poprzednich.

Pies uczy się przytrzymywać każdego, lecz tylko na rozkaz pana.

W dalszej części odchodzi pan z domu, ułożywszy psa przed drzwiami pokoju. Po chwili zjawia się pomocnik. Jeśli wchodzącego pies zaczepi, pan obserwujący ruchy psa z ukrycia ma wejść i łagodnie psu zabronić, jeśli nie, to pomocnik obejdzie kilka razy pokój, zaglądając do szaf i szuflad i wziąwszy coś wychodzi. Gdy teraz pies nań nie skoczy, woła pan z ukrycia „bierz go“ a rozkaz robi swoje.

To i wszystko. Pracy dość i cierpliwości włożyć trzeba, by celu nie chybić, a i uwagi i taktu, by niestosownie tresując, nie wytresować „wilka“, który jak niedawno gazety pisały i przyjaciela zadusi.

Eo modo więc ,,Nero“ lub ,,Ugryz“ nie tylko pełni służbę obrońcy, lecz zarazem żandarma i sędziego polowego, który jak w Rosyi na miejscu karę wymierza z tą tylko różnicą, że tu cygana za winę, a tam niewinnie kowala wieszają!

Kamil Spilhaczek
Cand. ing. for.



Korespondencye.

Uherce zapłat. 4 stycznia.

Dnia 29. grudnia odbyło się polowanie w Czechach u Pana A. Krajewskiego w 12 strzelb.

Dzień przed polowaniem szalała zadymka, a w dniu polowania śnieg mokry i gęsty padał prawie cały czas. Ta niesprzyjająca aura odbiła się też na rezultacie polowania w dwojaki sposób: dzików nie można było otropić i trudno było o ludzi na nagonkę. Mając tylko jedną, gdy liczono na dwie pogonki, opolowało się zaledwie trzecią część zamierzonego obszaru, ile że pogonka niemogła raźno chodzić, często brnąc w śniegu po kolana. Z tego też powodu nie dotarliśmy do wysokiego lasu, gdzie były sarny.

Na rozkładzie: rogacz, 2 lisy, 35 zajęcy i cietrzew. Strzałów 97.

Panu Wiceprezesowi należą się słowa uznania za Jego pieczołowitość, jakiej zażywa tam zwierzyna w tak ciężkich dziś dla niej czasach, a wreszcie podziękowanie za miłe wspomnienia, o jakie knieja w Czechach, ta stała siedziba cietrzewi, wzbogaciła uczestników tego polowania.

Wiktor Smalawski.

Żurawno 3. stycznia 1906.

I znowu nieszczęście! Jedna z najpiękniejszych kniei — knieja bukaczowiecka przeszła w ręce pejsatych spekulantów. Wspaniały ten majątek sprzedano tymi dniami żydkom bez grosza, którzy zaledwie zdołali złożyć zadatek w kwocie 10000 koron.

Najlepszym dowodem wielkiej wartości tego majątku i widoków zrobienia dobrego interesu na nim jest ta okoliczność, że żydzi ci obiecali 20000 koron faktorom za wyszukanie im pożyczki w kwocie 1000000 koron, której to kwoty potrzebują dla częściowego zapłacenia majątku.

Ale do rzeczy! Mam zamiar wspomnieć o nieszczęściu, jakie spotkało wspaniały teren myśliwski, jedną z najpiękniejszych kniei dziczych.

Jeżeli majątek przejdzie w ręce żydowskie z konieczności, da się to usprawiedliwić — gdy jednak stanie się to dla kaprysu i dlatego, że właściciele majątku tego nie lubią, jest rzeczą smutną. Niezawodnie gdyby właściciele mieli trochę upodobania w myśliwstwie, byliby się tego majątku tak nie zbyli.

Za parę lat będziemy mogli z bolem serca wykazać, że żydzi, zdewastowawszy majątek odebrali z lasów pieniądze włożone na kupno majątku i odsprzedali ziemię bankowi parcelac. co najmniej za podwójną kwotę. Powtórzy się ta sama historya co z sąsiednim Łukowcem, którego najnowsze dzieje wyglądają jak bajka z tysiąca i jednej nocy, tylko niestety w większych rozmiarach.

W każdym razie naszemu myślistwu galic. zadano przez sprzedaż tego majątku żydom, znowu jeden okrutny cios.

J. Stary.

Dolne, 12. stycznia 1907.

Sezon zbliża się ku końcowi, a dla mnie prawie, że się już skończył, mimo więc, że nie wiele chwil spędziłem w lesie i na polu, należy zdać relacyę z polowań, na których się było: 30. i 31. października polowałem u mego stryja w Drohomyślu, gdzie w 12 strzelb padło 7 dzików, 12 kozłów, 9 lisów, 35 zajęcy, 2 słonki, 1 kuropatwa i 1 kszyk; na dowód ilości dzików w tej kniei podam fakt, że strzelano mniej więcej do czterdziestu sztuk. 8. listopada strzelaliśmy do kuropatw w Tuczempach u Micewskiego, w łozach nad Sanem na tire haut. W cztery strzelby przy silnym wietrze i nieskończonej ilości pudeł zabiliśmy 35 sztuk. 10. grudnia wybrałem się do Smolnika, aby spróbować szczęścia do dzików górskich po pierwszym śniegu. Pokazało się tymczasem na miejscu, że ten pierwszy śnieg sięga wyżej pasa, chodzenie niemożliwe, o tem więc aby dzikom dobrać się porządnie do skóry, ani mowy. Po trzech dniach szalonego chodzenia i daremnego puszczania psów, zabiliśmy warchlaka i zająca.

Na 15. grudnia miałem zaproszenie od Edmunda Rylskiego do Malawy; czas był prześliczny, zające roiły się spacerując po polu, cóż kiedy rezultatowi stanął na przeszkodzie strajk nagonki i sprawił żeśmy zamiast preliminowanych 200 ubili 70 zajęcy.

18. i 19. grudnia kotły w Tuczempach; pierwszy dzień cudowny i pod względem rezultatu, bo 180 zajęcy w czterech kotłach, dziesięć strzelb; drugie tyle zajęcy wymknęło się przy zachodzeniu kotłów. Na drugi dzień paskudny mokry śnieg i wiatr, rezultat też słaby, bo 60 zajęcy. Parę lat temu padało w Tuczempach zaledwie kilkanaście zajęcy, a za parę lat powinno ich być dzięki opiece gospodarza dwa razy tyle. 24. na wilię zabiliśmy w Wysuczce na polach 130 zajęcy. Najlepsze jednak na sam koniec — tak i teraz, bo Bilcze... Tyle razy pisałem już o tych łowach, że rozwodzić się nie będę: 3/1 Dąbrowa, mróz pogoda, 179 zajęcy, 12 kozłów, 1 lis. 4/1 Zielińce, odwilż, 366 zajęcy, 21 kozłów, 5 lisów. 5/1 Cygany, mokry śnieg, 177 zajęcy, 16 kozłów, 1 lis. Królem Andrzej ks. Lubomirski: 90 zajęcy, 6 kozłów.

C. C. G.

Batiatycze, 1 stycznia 1907.

Pod smutną wróżbą zaczynam drugi rok Nowy, jako gospodarz i myśliwy.

Niebywałe od lat śniegi, ziemia niezamarznięta, smutne nadzieje na oziminy, również jako myśliwy, pisząc te słowa co mam w duszy, ocenić potrafi ten, co pracą i znacznym kosztem doprowadził stan zwierzyny do dobrego stosunkowo stanu, a dziś mu wrogie żywioły zabierają.

Pomijam zimę, ta każdemu da się we znaki, ale biedna zwierzyna bezbronna, głodna, pada ofiarą łotrów, co nie zważając na nie mordują wprost bez litości.

Fakta które podaję — a których epilog rozegra się w sądzie i starostwie — mogą wprost poruszyć serca choćby niemyśliwych.

Dziś o paręset kroków pod dworem dobito sarenkę młodą, postrzeloną siekańcami. W parę godzin doniósł dozorca, że chłopi w przysiółku Gruszka i koloniści przy pełni księżyca łowią na sidła kuropatwy i że 40 sztuk mają już złapanych na sprzedaż — a jako corpus delicti — przyniósł kuropatwę z związanemi skrzydłami.

Rozbój ten urządzają w ten sposób, że sypią ziarno namoczone w spirytusie i tytoń pod obrogi, płoty i gumna, a odurzone alkoholem ptaki, biorą żywcem.

Żandarmerya mimo święta Nowego roku zrobiła swoje, przy pomocy moich dozorców mimo szalonej zawieruchy w nocy milę drogi pojechali, a rezultat — odebrano 11 ptaków, chwycono 5-ciu chłopów i żyda sklepikarza, który już kupił 2 sztuki.

Ranek dał jeszcze 6 sztuk kuropatw uduszonych, które sprzedawał wysłużony żołnierz.

Lecz jak ciężkie ma zadanie żandarmerya, jak wprost jest skrępowana w swoim zakresie działania, to naprzykład: trochę pijany chłop może być aresztowanym, ażeby przeprowadzić rewizyę u złodziei, musi być pozwolenie c. k. Starostwa.

W końcu, jeżeli formalnościom stało się zadość, to po masie terminów, jazd, kosztów, kara jeden dzień aresztu. Po takich przejściach przychodzi myśl wymordować to, co jeszcze żyje i broń na kołek.

Nie ominęły mnie i życzenia noworoczne, frankowane z możebnemi jasnościami na adresie a wewnątrz słowa:

Ty zawołoko podliski, zhynesz, jak pes i t. d. Cieszy mie zawsze pamięć o mnie i widzę, że mam serdecznych. O większych polowaniach w naszym powiecie mało słychu, w Dzibółkach u Ojców Dominikanów stan ładny, zresztą, choć niby lasy dokoła, pusto, pukanina na singeltona ciągła, rozparcelowane duże obszary dworskie, osady po polach i lasach, chyba zajączek i kuropatwa utrzymać się mogą i te padają ofiarą wiary w ludzi.

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski.

Różniatów w styczniu 1907.

Myśliwy a strzelec. Dopóki żył pośród nas śp. Władysław Bzowski, mieliśmy starego myśliwego pośród siebie, — ten z nas prawdziwych myśliwych wyrabiał, gderając nieraz i to ostro za różne grzechy i przewinienia przeciwko kardynalnym pojęciom, my zaś młodzi słuchaliśmy z szacunkiem i wdzięcznością wskazówek Jego.

Zabrał nam Go Bóg prawie już przed czterema laty a pomimo tego jeszcze ciągle nam go brak, gdy trąbka myśliwska zwoła nas gdzieś na polowanie do sąsiada. Brakuje nam tej miłej postaci pod znanym pledem, z jednym wąsem w górę, z okiem jednem przymrużonem, postaci tak sympatycznej dla każdego i poważanej przez nas wszystkich. Brakło seniora myśliwym naszej okolicy, brakło tego, który nowo zaciągające się drużyny pod sztandar Nemroda zdaniem i gderaniem swojem umiał wyrabiać. Braki te zaś widać niestety w dwóch młodych nemrodach naszej okolicy.

W Zarzeczu zajmuje się osobiście zwierzyną bardzo troskliwie i starannie młody hrabia Paweł, urządza budki dla kuropatw, tryzuby i lizawki dla sarn, rozwozi sam siano, ziarno, pośląd, ba nawet krajane buraki, robi to wszystko z zamiłowaniem, bo jest nietylko dobrym strzelcem, ale i doskonałym myśliwym. Niestety dwaj wcale nieźli, bardzo młodociani strzelcy lecz zgoła nie myśliwi, nie dadzą na łowieckiej niwie nic zdziałać, bo ciągłem strzelaniem i przepędzaniem płoszą, rozpędzają i dziesiątkują zwierzynę. Szczególnie jeden pan przez dziesięć dni ośmnaście sztuk sobie zabił (niewiadomo jaki był stosunek rogaczy do kóz), ale to fakt, że pod rozkazami tego młodego nemroda jest jakiś bajeczny rozpruwacz transformator, przerabiający w mig kozę w rogacza. W ogólności nie przebiera się tutaj w środkach, chodzi o to, żeby rozlać jak najwięcej krwi, narobić jak najwięcej mięsa, więc strzela się do sarn śrutem w głębokich śniegach, do zajęca w kopnie, do kuropatw na śniegu, tak pociągnąwszy po główkach. Najsmutniejsze jednak, że gdy braknie zwierzyny, bawi się w zapuszczanie tatarskich zagonów na pola ordynacyi, gdzie łupu zawsze podostatkiem.

Czas nareszcie, byśmy zrozumieli, że sama mania zabijania u nas jest pozostałością natury dzikiego człowieka, który ongiś jeszcze, zanim znał rolnictwo i pasterstwo, łowiectwem potrzeby życia zaspokajał. Nie jest to nic szlachetnego, ani ładnego, gdy polegać ma tylko na samem przelewaniu krwi niewinnej.

Co innego jest żyłka myśliwska, to jest znajomość zwierza, a co zatem idzie, lubienie go i pomoc w rozmnażaniu. Chować, żywić, tępić szkodniki, przypatrywać się temu, oczywiście nadmiar umiejętnie odstrzelić, wiedzieć gdzie się ma jakie stadko kuropatw, gdzie jaki rogacz wychodzi, znać w dodatku naturę zwierzyny, znać jej głosy, sposoby życia, ot to jest prawdziwe myślistwo, to sport piękny i szlachetny.

Zatem sąsiedzi młodzi, przestańcie być strzelaczami sarniego rodu, a zacznijcie być myśliwymi, bo tylko ten sport godności przystoi szlachcica.

Adam Łastowiecki.

Manasterzec 14. stycznia 1907.

Dnia 10. stycznia b. r. wyszedłem za ogród w łozy, dla przeglądnięcia oparzelisk, na których czasem w porze zimowej dzikie kaczki się zatrzymują. Z pierwszego oparzeliska, pokrytego niską, zieloną trawą, porwał się z głośnym „kszt“ kszyk, a uleciawszy kilkaset kroków usiadł na niezamarzłem bagienku w pobliżu rzeki.

Wprawdzie już nieraz w późnej jesieni widziałem kszyki na oparzeliskach tutejszego porzecza, które w przelocie tutaj chwilowo dla żeru się zatrzymują, pierwszy raz jednak zdarza mi się widzieć w pośrodku zimy, u okolicy, zasypanej głębokim śniegiem tego ptaka.

W locie tego ptaka nie zauważyłem żadnej nieprawidłowości lub zmęczenia i z tego wnoszę, że nie postrzał lub wrodzona nieudolność jest powodem zatrzymywania się tutaj, raczej sądzę, iż niezamarzła dotąd tutejsza rzeka i liczne oparzeliska ułatwiają mu żywienie się i jeżeli i nadal silne mrozy wyżej 10 stopni nie nastąpią, ptak ten przezimuje tutaj.

W przeszłej zimie przebywała tutaj parka kosów leśnych. Do pierwszej połowy grudnia zatrzymywały się w kłąbach iglastych ogrodu, żywiąc się przeważnie jarzębiną. Gdy jednak w początkach grudnia paszkoty i gile gronka jarzębiny w kilku dniach objadły, kosy przeniosły się do pobliskiego, do południa wystawionego lasku, gdzie ich często w grudniu i styczniu widziałem.

Przezimowanie kosów w naszym kraju nie należy może do rzadkich wypadków. Wiadomo n. p. że w ogrodach wiedeńskich, w Volksgartenie i Stadtparku na pół oswojone kosy tamtejsze zimę tam przebywają a, na Schlossbergu w Gracu widzi się kosy a nawet zięby przez całą zimę. Wprawdzie klimat tych krajów jest nieco łagodniejszym od naszego, to jednak fakt, iż para kosów w Manastercu przeszłą zimę przebyła i w gąszczach szpilkowych, chroniących od śniegów i wiatrów, wyżywić się mogła, dowodzi, iż ptak ten nie jest bardzo wrażliwym na zimno i przezimowanie jego może i w innych okolicach już obserwowano.

Stan. Frankiewicz.

Sosnów, dnia 15. stycznia 1907.

Dnia 11. stycznia polowaliśmy u. p. Władysława Jankowskiego w Rosochowaćcu, w rewirze Iszczków w 14 strzelb. Polowanie wzorowo prowadzone, mimo to, że śniegiem zawalone zapusty i dotkliwy a zimny wicher podolski utrudniały pogonce i służbie leśnej spełnienie swego zadania. Stan zwierzyny bardzo ładny, to też były i stanowiska bardzo ładne n. p. jeden z myśliwych zastrzelił na flance 3 rogacze i 5 zajęcy. Ogólny rezultat: 121 zajęcy i 9 rogaczy, może nie odpowiedział oczekiwaniom szanownego gospodarza zadowolił zato w zupełności wszystkich myśliwych, którzy podejmowani przez zacnego gospodarza, przez usta moje dziękują za tyle uroczych chwil i miłych wspomnień tak z kniei, jak ze dworu.

Bronisław Łastowiecki
delegat podhajecki.

Batiatycze, 18. stycznia.

W poprzedniej korespondencyi poruszyłem sprawę wprost mordu biednych kuropatw, dziś dzielę się dobrą wiadomością, iż po przeprowadzeniu na miejscu dochodzenia przez specyalnie wysłanego komisarza starostwa S. z Żółkwi, 5-ciu chłopów zostało skazanych na grzywnę lub areszt, a żydowica handlarka na 50 koron kary.

Plagą są tacy włóczący się handlarze, i gdyby c. k. żandarmerya zaglądnęła czasem do worków tych Panów, to znalazłaby tam różne, podejrzanej własności drobiazgi.

Stan zwierzyny byłby dobry — na małem polnem polowanku padło 40 zajęcy, rogacz, paść mogło dwa razy tyle, ale to, — ale jest zawsze, czasem trudno trafić, zaś jako gospodarz wołam, dzięki ci św. Hubercie.

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski.

Żydaczów, 16. stycznia 1907.

Tegoroczny sezon myśliwski zapowiadał się początkowo bardzo pomyślnie. Śniegi, które spadły w pierwszej połowie grudnia, uradowały wszystkich myśliwych. Niestety jednak polowania zawiodły przeważnie nasze nadzieje. Śnieg spadł na ziemię jeszcze niezamarzniętą i pokrył ją na metr wysoko, tak, że późniejsze silne mrozy nie mogły działać przez tak grubą skorupę śnieżną. W lasach więc o terenie bagnistym (a takich jest dość w naszym powiecie) nagonka iść nie mogła i musiała przechodzić wyżej położonemi, bardziej suchemi, a mniej zasypanemi miejscami.

Klasycznym przykładem, jak takie niepomyślne warunki, mogą wpłynąć na rezultat polowania, jest knieja, tak renomowana, jak w Demence leśnej p. Bolesława Widajewicza, gdzie przeszłego roku padło na polowaniu 9 dzików, lis, 12 kozłów i 69 zajęcy. Tego sezonu był tylko lis i 9 zajęcy. Gościnny gospodarz zapowiedział jednak, że nie uważa tego polowania za ostatnie słowo w tym sezonie; mamy więc nadzieję z końcem stycznia inaczej się w tej kniei zabawić.

Na dwóch małych polowaniach, urządzonych przez p. Widajewicza w kilka strzelb w Wołcniowie i Demence padło 10 rogaczy, lis i około 40 zajęcy.

Do polowań, które się udały, należy zaliczyć przedewszystkiem polowanie w Bereźnicy królewskiej u p. Stanisława Pawlikowskiego dnia 10. stycznia. Przedtem w lasku roguźniańskim pod Bereźnicą, zabiliśmy w 5 strzelb lisa i 15 zajęcy. W Bereźnicy zaś polowaliśmy w 9 strzelb. Knieja ta należy pod względem stanu sarn do najładniejszych, jakie się w kraju spotyka. Na oziminie pod lasem nie rzadko można spotkać rudle po sześćdziesiąt i więcej sztuk. Było nas jednak za mało strzelców, aby obstawić bardzo wielkie mioty — jest ich cztery, każdy zwyż 100 morgów — tak, że flanki zostały wolne. Strzelano ogółem dobrze, tylko kilka rogaczy zostało postrzelonych, które dopiero na drugi dzień odnaleziono. Padło w niespełna 3 godziny 14 rogaczy i 43 zajęcy. Lisów nie widzieliśmy, choć ich zwykle kilka pada, bo nagonka nie mogła wziąć łóz, gdzie zwykle się trzymają.

15. stycznia polowaliśmy w 8 strzelb w Juseptyczach, majątku należącym do fundacyi Pietruskich. Na rozkładzie 6 rogaczy, lis i 32 zajęcy.

Dnia 29. grudnia urządziłem polowanie w Wasłowcach, na Bukowinie. Wskutek zawiei śnieżnej zamiast spodziewanych 12 myśliwych, było nas tylko 7-miu i z powodu wielkich śniegów z 14 miotów zdążyliśmy wziąć tylko 5. Na rozkładzie: 2 lisy i 51 zajęcy. Kozłów według nowej ustawy bukowińskiej strzelać nie wolno już od 15. grudnia.

O innych polowaniach doniosę w następnej korespondencyi. *Dr. Maksymilian Jampolski.*

Czahrów, 24. stycznia.

W Jezupolu polowaliśmy 2. i 4-go stycznia w 12 strzelb. Pierwszy raz polowałem w tej pięknej kniei i jakkolwiek wiedziałem, że z powodu umiejętnego prowadzenia zwierzostan co rok podnosi się, pomimo to wyniosłem wrażenie wśród polowania jeszcze lepsze, niż początkowo spodziewałem się. Szczególnie niedawna obecność dzików w tej kniei ogromnie ją urozmaica i podnosi. Rezultatem polowania było 6 dzików, (trzy dziki padły tripletem), 8 rogaczy, 127 zajęcy. Trzeba nadmienić, że zajęcy znacznie więcej byłoby padło, gdyby w oczekiwaniu dzików często ich bez strzału nie przepuszczano. W ogóle dobrze strzelano, zapewne wpłynął na to przykład pani domu, która biorąc udział w polowaniu celnymi strzałami przyczyniła się znacznie do powiększenia rozkładu. Jeden z myśliwych w końcowym miocie zamienił się o swe stanowisko i właśnie tamtędy przeszedł piękny odyniec, który padł od kuli myśliwego, który to stanowisko zajął. Nie wiedzieć teraz, jak uważać taką zamianę stanowiska, bo wielu myśliwych przesądnie tego nie lubi, gdyż w tym wypadku dla jednego była zmiana niepomyślną, ale dla drugiego bardzo szczęśliwą. *I. C.*

Lwów, w styczniu 1906.

Spieszę przesłać ogółowi myśliwych relacyę o polowaniu w Starzyskach, u pana Aleksandra Weissmanna Zawidowskiego w dniach 21. 22. stycznia br.

W niedzielę 20. stycznia wieczór witały gościnne progi Starzysk zmarzniętych gości. Kolej janowska odmówiła tym razem swych usług, dążyliśmy więc do Starzysk saniami, przy coraz wzmagającym się mrozie i dokuczliwym wschodnim wietrze. Mimo to jednak stawiła się drużyna w komplecie, a animuszu myśliwskiego ani na chwilę nie osłabił fakt, że przez oba dni polowania mieliśmy po 23^{0} R, przy dość silnym wietrze i że trzeba było naprawdę chwilami dużo pasyi myśliwskiej, aby nie tęsknić za ciepłym domem i ogniem na kominku.

Zato używaliśmy między miotami wszystkich, znanych sposobów rozgrzania skostniałych rąk i nóg, a pewnem jest także, że na dnie kuferków nie pozostało w domu nic, coby się dało ubrać, a mogło choć w części od zimna uchronić.

Pocieszaliśmy się przytem także, że dlatego tak pilnie polujemy, aby kiedyś powiedzieć naszym synom, gdy dorosną a narzekać będą na zimno, że są niewieściuchami, niegodnymi swych ojców, którzy w roku pańskim 1907, polowali przez dwa dni przy 23 stopniowym mrozie i wietrze, a grzali się przytem pasyą myśliwską i dobrym humorem, bez narzekań i kwaśnych min.

O dobry humor w Starzyskach wogóle nie trudno, a tym razem podniosło ducha już u wstępu to, co nam gospodarz o tropieniach z ostatnich dni powiedział, a rosła w czasie polowania dusza gdy rzeczywistość nie tylko zapowiedzi nie zawiodła, ale przeciwnie była od nich lepszą.

W jednym naprzykład miocie od pięciu dni miały być cztery do pięciu dzików, które stamtąd wcale nie wy-

chodziły, a że śnieg tropy zasypał, można było długo koło tego miotu tańczyć, nie wiedząc, że tam są dziki.

Aby uspokoić niewiarę naszego Gospodarza udało się jednemu z gajowych zbliżyć cicho do barłogów i wylazłszy na drzewo, widział dziki żerujące spokojnie za pagórkiem. Z tą wiadomością przyszedł dumny do dworu w dzień naszego przyjazdu, a pomylił się tylko w tem, że następnego dnia zamiast pięciu, wyszło siedm dzików, w tym miocie na myśliwych. Podobnie było z tropieniem w innych miotach, a więc wszystko i zawsze na włos się właściwy zgadzało, i chyba więcej było dzików, niż zapowiedziano albo były dziki, choć odnośny gajowy mówił, że: „akuratne ne znaty“.

Polowaliśmy pierwszego dnia w 16-cie, drugiego w 14-cie strzelb, wzięliśmy pierwszego dnia 5 miotów, przeważnie tylko na dziki, drugiego dnia 7 miotów, razem 12 miotów, z których w pięciu pierwszy strzał był do dzika i do drobnej zwierzyny nie strzelano, wzięliśmy więc na drobną zwierzynę tylko siedm miotów; dziki były w sześciu miotach wszędzie otropione i zapowiedziane.

Rezultat ogólny wprost wspaniały — *padło 10 dzików, 33 rogacze, 2 lisy, 20 zajęcy i 2 koguty (cietrzewie)*; jednego dzika i dwa koguty, zabił trzeciego dnia, po polowaniu jeden z towarzyszy, któremu nie sporo było widać ze Starzysk wyjechać i razem z gospodarzem sprawdzał jeszcze niebrane mioty i szukał rzekomo postrzałków.

Było niestety kilka rogaczowych postrzałków, dzik tylko jeden poszedł lekko farbując.

Kto zna obszar Starzysk a nie zapomina, że polowaliśmy przy nie zwykle silnym mrozie i śniegu prawie do pasa, tego nie zdziwi mała ilość wziętych miotów. Myśmy przeciwnie, szczerze podziwiali i nie szczędzili kochanemu Gospodarzowi słów uznania, za znakomitą organizacyę polowania i za rozmieszczenie już z góry w różnych częściach rewirów potrzebnej pogonki, tak, że jadąc milę od miotu, zastawaliśmy czekającą przy ogniskach swojej kolei pogonkę i nigdy czekać nie było trzeba. Gościnne pokoje starzeckiego dworu, wydawały się tym razem jeszcze cieplejszymi po całodziennem zziębnięciu na takim mrozie, po udanem polowaniu przy ogniu na kominku, wśród miłych towarzyszy. *W. S.*

Nowystaw 26. stycznia 1907.

Rok ubiega od ostatniej mojej korespondencyi w Łowcu a że sezon zimowy kończy się, czas więc, aby o nim napisać słów kilka. Ogólnie biorąc był on w naszej okolicy pod względem ilości zwierzyny bardzo dobry, ale pod względem stanu powietrza i pogody bardzo zły. Jesień była mokra, wskutek czego niżej położone lasy stały formalnie pod wodą; na to spadł metrowej grubości śnieg, ziemia i woda nie zamarzła, więc ani przejechać ani przejść nieraz nie można było. Mimo to, żyłka i werwa myśliwska nie pozwoliły nam usiedzieć w domu a kółko nasze złożone z paru myśliwych korzystało dość często z gościnności Pana Tadeusza Romanowskiego w Batiatyczach, który mając obszerne własne i dzierżawione tereny, urządzał dość często nadzwyczaj przyjemne polowanka, z których niejedno wcale pomyślnym skutkiem uwieńczone zostało, gdyż w cztery strzelby z 10 lub 12 chłopakami nagonki ubijaliśmy nieraz po kilkadziesiąt zajęcy. Wracało się wprawdzie z tych polowań z przemoczonemi nogami, bo woda czasem i poza cholewy zajrzała, ale dobrze ogrzane pokoje, dobry obiadek i znakomity humor i serdeczna gościnność gospodarza, wkrótce kazały zapomnieć o tych myśliwskich dolegliwościach.

23-go stycznia zakończyliśmy sezon większem polowaniem, ale nielitościwy dwudziestokilkustopniowy mróz tak wszystkim dokuczył, że po zajściu kilku tylko miotów i upolowaniu kilkudziesięciu zajęcy, powróciliśmy spiesznie z lasu, bo i nagonka, choć rozgrzewana piecykami systemu p. Baczewskiego, nie mogła dotrzymać placu.

Ostatnie mrozy nadzwyczajnie zniszczą dużo zwierzyny, zwłaszcza kuropatwy słabsze giną od zimna. Znaleziono również sporo zajęcy zmarzniętych. Zwierzyna przyciśnięta głodem i zimnem pcha się formalnie między domostwa, z czego znów korzystają zwolennicy ustawy, głoszącej „że zwierzyna nie należy do nikogo i do wszystkich“, łapią w sidła kuropatwy i zające a Srul lub Moszko gładzi sobie brodę, płacąc po 10 cent. za kuropatwę a 30 cent. za zająca. Czasem jednak zdarza się, że ręka sprawiedliwości zaciąży na tej cichej spółce, co stało się niedawno w Batiatyczach, lecz o tem napisze zapewne sam gospodarz.

Na zakończenie pozwalam sobie złożyć p. Gospodarzowi w imieniu naszego kółka myśliwskiego serdeczne „Bóg zapłać“,

S. M.

Wiluń, 28. stycznia.

Dnia 26. stycznia odbyło się polowanie w kniei pani hrabiny Wilmy Reyowej w Psarach, w sześć strzelb, padło rogaczy 6, zajęcy 58. Stan zwierzyny niebywały, szczególniej zajęcy taka masa, jak nikt dotąd nie pamięta, sarn i kuropatw bardzo dużo, a bażanty wyniosły się do szuwarów na staw. Szkoda wielka, że wielu Panów nie mogło przybyć z powodu poodmrażanych rąk, uszu, nosów, a nawet i brody, jak telegraficznie zawiadamiali i usprawiedliwiali się Panowie, bo byłby rezultat co najmniej w czwórnasób korzystniejszy, ale dziwna rzecz, że te tak straszne mrozy, jakoś nie uszkadzają kłusowników, bo zające pokaleczone przez nich znachodziliśmy w lesie, ale kłusownika żadnego.

Agenor Łobodziński.

Sewerynka, 27. stycznia.

Dnia 24. i 25. polowaliśmy w lasach P. Artura Cieleckiego w Oryszkowcach, było proszonych 10 myśliwych, nadto przyjechało nas trzech, prócz mnie P. Stanisław hr. Siemieński-Lewicki i P. Juliusz Cielecki. Niektórzy nie mogli przybyć, bo we wschodniej Galicyi na 15 dni wszystkie lokomotywy ponoś pozamarzały i koleje nie fungowały, z okolicznych może z powodu mrozu nie przyjechało kilku panów, bo też było — 28° R. Zajączki bardzo zdziwione były, dlaczego je płoszono z jednego miotu do drugiego, gdyż ledwie piąta część przychodziła na strzał. Knieja cudna, mogąca ugościć ze 20-tu myśliwych raczyła nas czterech tylko. W cztery strzelby zabiliśmy w dwóch dniach 137 zajęcy, 6 kozłów, lisów było pięć, miałem przyjemność widzieć wszystkie te szkodniki, niestety żaden na strzał nie przyszedł, każdy manewrował, by nic nie oberwać, co im bardzo łatwo się udało przy tak szczupłej liczbie myśliwych.

Przed tygodniem w drugim rewirze w lasach Hadynkowieckich padło 200 zajęcy i 10 kozłów.

Ksawery Oedenberg Geringer.

Wykaz ubitej zwierzyny w dobrach Tadanie
(powiat Kamionka str.) za rok 1906.

Psów 39, kotów 136, jastrzębi 58, wron, srok 610, bocianów 35, kun, łasic 12, lisów 9. Razem 899.

Słonek 2, kaczek 9, przepiórek 6, kuropatw 385, kogutów bażancich 30, zajęcy 335, rogaczy 18. Razem 785 Ogółem 1684.

Rok ubiegły nie był dla zwierzyny korzystny, słoty w czasie lęgu wyrządziły olbrzymie szkody w kuropatwach i w bażantach; (15 gniazd zalanych znaleziono w mym rewirze — a naturalnie iluż nie znaleziono) zające ginęły na motylicę, tak, że nietylko nie mogę zaznaczyć żadnego postępu, lecz niestety znaczny krok wstecz na całej linii, jedynie tylko stan sarn nieco się poprawił.

Józef Bartmański.



Galicyjski Klub hodowli i tresury psów myśliwskich.

Upraszamy ponownie jak najusilniej naszych członków, tak założycieli jak i zwyczajnych, by raczyli uiścić wkładki na rok 1907 i tym sposobem oszczędzili nam kosztów i trudów wysyłania przekazów pocztowych. Wkładka roczna wynosi dla właścicieli i dzierżawców polowań 10 k. dla wszystkich innych 5 koron.

Zarząd Klubu.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu St. N. w Brzesku. Artykułu pańskiego nie umieścimy. Chociaż pisany w dobrej wierze, zrobiłby w kole naszych czytelników fatalne wrażenie i wyrządziłby naszej sprawie wielką szkodę. Zapatrywań WPana nie podzielamy. Na szczęście nie jest tak źle, jak WPan sądzi, i tak strasznych środków, jakie WPan proponuje, imać się jeszcze nie potrzebujemy.

Doniesienia prywatne.

Mam zaszczyt zawiadomić, że istniejącą we Lwowie od lat 30-tu fabrykę broni i magazyn przyborów myśliwskich pod firmą

ALFRED DZIKOWSKI
c. k. Nadworny Dostawca

prowadzić będę nadal przy współudziale dotychczasowych sił pomocniczych i pod tem samem fachowem kierownictwem fabryki i warsztatów.

Proszę o obdarzanie mnie tem samem zaufaniem, jakiem się cieszyła firma za życia ś. p. Ojca mojego, zapewniam zaś, że będzie mojem najusilniejszem staraniem, na zaufanie i względy P. T. Odbiorców w całej pełni zasłużyć.

Dr. Zdzisław Dzikowski.

DROBNE OGŁOSZENIA i INSERATY.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**